

Nazwisko BOBKA

Imiona LESŁAW

Pseudonim .....

Z domu .....

Data urodzenia 3.8.1950 Miejscowość, kraj Ziębice D. Śląsk

Data śmierci 24.3.2012 Miejscowość, kraj Halford

Lat życia 61

Adres cmentarza sp. Kensal Green

Źródła: Dz. Pol. 1/6/9.4.12 i Wspom. Dz. Pol. 30-3.12

Ś.P. 1.4.12.

## LESZEK BOBKA

4 VIII 1955 – 24 III 2012  
DZIENNIKARZ

Odszedł od nas przyjaciel.  
Wszedł w nasze życie wiele lat temu  
i pozostał w nim do końca swoich dni.  
Pod koniec byliśmy przy nim myślami i modlitwą  
wierząc, że do nas wróci. Zaskoczył nas i odszedł jak  
zawsze po swojemu. Przeżył życie zgodnie z sobą,  
z fantazją, wdziękiem, dziecinną radością  
i życzliwą ciekawością ludzi.  
Pisał o nich po to żeby pamięć o nich szybko nie zgasła.  
Przywracał ich naszej pamięci.  
Kronikarz Emigracji. Obdarzony wnikliwą inteligencją,  
namiętnością do pióra, literatury, teatru.  
Śniły mu się zawsze niebieskie migdały.

Niech mu niebo ich nie skąpi.

Krystyna i Janusz Cywińscy  
i Kazimierz Nowak

Ś.P. 6.3.12.

## LESZEK BOBKA

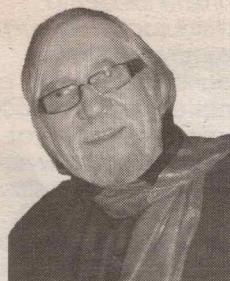
dziennikarz, teatrolog, kronikarz

W dniu 24 marca odszedł nasz przyjaciel,  
z którym przez 15 lat budowaliśmy firmę Travelines,  
gdzie uzyskał nową umiejętność travel agenta,  
ona mu zapewniła egzystencję do końca życia.

Będzie nam go bardzo brakowało

Janusz Cywiński, Teresa Lines

i dawni towarzysze pracy



W sobotę  
24 marca zmarł

### LESŁAW BOBKA

Wieloletni  
współpracownik  
i przyjaciel  
Dziennika Polskiego.  
Człowiek pióra.

Cześć jego pamięci!

D.P. 9.4.12. Ś.P.



## LESŁAW BOBKA

Urodzony 3 sierpnia 1950 r.  
w Ziębicach na Dolnym Śląsku.  
Zmarł 24 marca 2012 r. w Watford.

Dziennikarz, człowiek pióra,  
dzięki któremu nauczyłem się kochać  
wszystko, co polskie.  
Wspaniały przyjaciel, dobry człowiek.  
Nikt Go w moim życiu nie zastąpi  
**Eric Lewis**

Ceremonia pogrzebowa odbędzie  
we wtorek 17 kwietnia 2012 r. o godz. 13.00  
w West London Crematorium,  
Kensal Green Cemetery w Londynie.

W dniach 14-16 kwietnia trumna  
zostanie wystawiona w Ealing Chappell.  
Osoby które chcą oddać hołd Zmarłemu  
proszone są o skontaktowanie się  
z zakładem pogrzebowym tel. 020 8569930.

*Zamiast kwiatów datki na: Scena Poetycka, c/o POSK*

D.P. 6.4.12. Ś.P.



## LESŁAW BOBKA

Urodzony 3 sierpnia 1950 r.  
w Ziębicach na Dolnym Śląsku.  
Zmarł 24 marca 2012 r. w Watford.

Dziennikarz, człowiek pióra,  
dzięki któremu nauczyłem się kochać  
wszystko, co polskie.  
Wspaniały przyjaciel, dobry człowiek.  
Nikt Go w moim życiu nie zastąpi  
**Eric Lewis**

Ceremonia pogrzebowa odbędzie się  
we wtorek 17 kwietnia o godz. 13.00  
w West London Crematorium,  
Kensal Green Cemetery w Londynie.

W dniach 14-16 kwietnia trumna  
zostanie wystawiona w Ealing Chappell.  
Osoby które chcą oddać hołd zmarłemu  
proszone są o skontaktowanie się  
z zakładem pogrzebowym tel. 020 8569930.

*Zamiast kwiatów datki na: Scena Poetycka, c/o POSK*

Z głębokim żalem żegnamy zmarłego  
w dn. 24.03.2012 w Watford  
naszego drogiego kolegę i przyjaciela

D.P. 1.4.12.

Ś.P.



## LESŁAWA BOBKĘ

Rodzinie i Najbliższym składamy  
głębokie wyrazy współczucia.

W jego osobie straciliśmy bardzo oddanego  
firmie pracownika i dyrektora  
**Współpracownicy Polorbis Holidays Ltd.**

„Można odejść na zawsze, by stale być blisko”  
ks. Jan Twardowski

D.P. 1.4.12.

Z głębokim żalem zawiadamiamy,  
że w dniu 24 marca 2012 r.  
zmarł po zmaganiach z chorobą



## LESŁAW BOBKA

Ponad 30 lat związany był z „Dziennikiem Polskim”.  
Publicysta, autor zbioru humoresek pt. „Monoki”;  
monodramów, recenzji, felietonów. W ostatnich latach  
tworzył „Bobkowy alfabet emigracyjny”.  
Spisał również wspomnienia Ireny Anders,  
które ukazują się na łamach „Tygodnia Polskiego”.

Bliskim i przyjaciółom  
składamy wyrazy głębokiego współczucia

Prezes i Powiernicy Polskiej Fundacji Kulturalnej  
Dyrekcja i Redakcja „Dziennika Polskiego”

4. P. 30.3.2012.

LESŁAW BOBKA

## Był maj 1979 roku...

Mieszkałem już kilka lat w Wielkiej Brytanii i nie bardzo wiedziałem, co z sobą zrobić. Byłem zmęczony Londynem. Chciałem zmienić środowisko i otoczenie. Wskutek sugestii przyjaciół, Teresy i Czesława Jeśmanów, postanowiłem podjąć się pracy linotypisty w drukarni „Dziennika Polskiego” w Hove. Nigdy nie grzeszyłem zręcznością czy zmysłem technicznym. Nic przeto dziwnego, że gdy ujrzałem monstrum, linotypem zwane, przerażłem się. Nadrabiałem jednak miną.

W drukarni, oprócz Piotra Barta (Bartczaka) pracowali zasiedzieli tutaj od lat, niektórzy od wojny, rodacy. Nic więc dziwnego, że traktowano mnie przyjaźnie, ale z pewną taryfą ulgową, jako zwiariowanego wypłocha z komunistycznej Polski. Odpowiadała mi panująca tam atmosfera, choć linotyp nadal mnie przerażał. Bez przerwy coś się w nim psuło i Bolesław Telesz większość czasu spędzał przy mojej maszynie, ku ucieście Edmunda Golla, który pękał ze śmiechu z moich soczystych wiązanek, padających pod adresemem nieszczęsnej maszyny. Natychmiast też skumałem się z Marysią Majtasową, która była po prostu „od wszystkiego” – inteligentna i dowcipna, słowem – niezastąpiona. Polubiłem Filę Osińską, która z Teresą Jeśmanową pracowała jako korektorka, a później była redaktorem technicznym. Lubilem również Franciszka Hamachera, który w drukarni był naszym nadzorcą. Podrzucał mi co ciekawsze artykuły do składania. Często podchodził do mnie z wścibskim uśmiechem i słowami: „Panie Leszku, to bardzo ciekawy artykuł, niech go pan złoży”.

Były to przeważnie czwartkowe felietony Wiesława Wohnera, których nie lubilem. Wryły mi się jednak w pamięć. Do dziś cytuję jego stwierdzenie, że „słowo w zdaniu winno pasować jak cegła w murze”. Przepadałem natomiast za felietonami Karola Zbyszewskiego, które pisywał na zmianę z Wohnerem, co drugi czwartek.

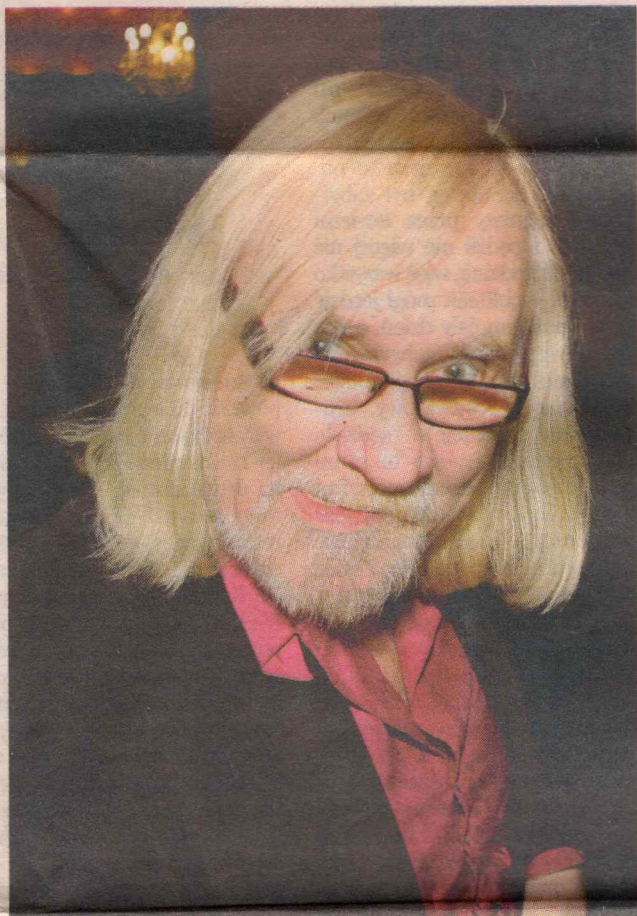
Na linotypach pracowali również: Henryk Osiński, Władysław Podgórski i Wiesław Kaszyński, którego była żona, Maria, także zatrudniona w Caldra House, z dnia na dzień upodobniała się coraz bardziej do Elizabeth Taylor.

„Tydzień Polski” redagował Wacław Zagórski. Co drugi tydzień zastępował go w łamaniu

Przez redakcję Dziennika – zresztą tak jak i dziś – przewijały się tabuny najrozmaitszych ludzi.

Tam m. in. poznałem legendarnego brata Karola Zbyszewskiego, Wacława.

Spojrzał na mnie i powiedział: – Tak sobie właśnie pana wyobrażałem, nieprzytomnego poetę.



po czym parsknęła śmiechem i tak już zostało. Od tej chwili nosiłem przydomek gwałciiciela linotypu, tym bardziej, że nadal nieustannie się psuło. Do historii już przeszły moje przekomarzenia się z Teresą Jeśmanową, która – jak zawsze – za bardzo ingerowała w teksty autorów już po ich złożeniu, przez co nanoszenie korekty stawało się koszmarem.

Swoistego rodzaju oryginałem był Zygmunt Kon – człowiek niebywale wykształcony, błyskotliwie inteligentny, dowcipny i złośliwy. Niskiego wzrostu, chodził zawsze po drukarni z wypchanymi kieszeniami, w których znaleźć można było wszystko. Spoglądał ciekawie znad okularów i za każdym razem znajdował stosowny żart czy dowcip. Często powtarzał, że „autora należy pozostawić w pełni okazałości jego głupoty”, przy czym słowo „autora” wymawiał skandując. W związku z czym rzadko kiedy ingerował w teksty. Odchodziła

się, jaki jest przeciętny poziom piszących. Postanowiłem spróbować swoich sił w tym zakresie. Kilka początkowych moich kawałków puściła do druku Anna Hoffmanowa i Wojciech Płazak. Prowadził on wtedy „Kontury”, które ukazywały się co dwa tygodnie na zmianę z „Środą Literacką”. Niebawem też zainteresowali się mną Stanisław Baliński i Karol Zbyszewski, którym – jeśli chodzi o moje pisanie – zawdzięczam najwięcej. Również przychylnie ustosunkował się do mnie jeden z ówczesnych dyrektorów, dr Witold Czerwiński.

Wkrótce przekonałem się, że drukarstwo nie jest moim powołaniem. Niecałe półtora roku później odszedłem z Caldra House, gdyż postanowiłem studiować stacjonarnie antropologię społeczną w londyńskiej School of Oriental and African Studies. Do Caldra House powracałem jeszcze wielokrotnie. Często dorabiałem tam w weekendy

tarka Barbara Kałuska, która pełni tę funkcję do dziś. Stanisław Baliński przychodził do redakcji tylko dwa razy w miesiącu i to popołudniami. Obok wspomnianej „Środy Literackiej” prowadził cotygodniową rubrykę „Rozmaitości”. Ponieważ w Londynie mieszkalem na Earl's Court, a redakcja mieściła się na Charleville Road na West Kensington – a zatem niemalże po sąsiedzku – byłem tam częstym gościem. Lubilem panującą tam atmosferę, a także żarty Edwarda Chudzyńskiego i jego słynne „kawy z wkładką”, czyli whisky lub koniakiem. Bawiły mnie również dziwactwa Karola Zbyszewskiego, który tak naprawdę zaczął „doceniać” mnie od czasu, gdy napisałem złośliwą i agresywną recenzję ze sztuki „Kim był ten człowiek”. Nie wiedziałem, że Zbyszewski nie lubił Wacława Zagórskiego i jego żony, Tamary Karren, która była autorką sztuki.

Zbyszewski lubił artyku-

redaktorem technicznym. Lubilem również Franciszka Hamachera, który w drukarni był naszym nadzorcą. Podrzucał mi co ciekawsze artykuły do składania. Często podchodził do mnie z wścibskim uśmiechem i słowami: „Panie Leszku, to bardzo ciekawy artykuł, niech go pan złoży”.

Były to przeważnie czwartkowe felietony Wiesława Wohnouta, których nie lubilem. Wryły mi się jednak w pamięć. Do dziś cytuję jego stwierdzenie, że „słowo w zdaniu winno pasować jak cegła w murze”. Przepadałem natomiast za felietonami Karola Zbyszewskiego, które pisywał na zmianę z Wohnoutem, co drugi czwartek.

Na linotypach pracowali również: Henryk Osiński, Władysław Podgórski i Wiesław Kaszyński, którego była żona, Maria, także zatrudniona w Caldra House, z dnia na dzień upodabniała się coraz bardziej do Elizabeth Taylor.

„Tydzień Polski” redagował Wacław Zagórski. Co drugi tydzień zastępował go w łamaniu Zygmunt Kon, a korektą zajmowała się Halina Filipowicz. W administracji była m.in. Irena Hamacher, która nosiła zawsze fantazyjne fryzury. Dyrektorem drukarni był Tadeusz Filipowicz. Okazał się świetnym pracodawcą. Miał znakomity atut – wyborną sekretarkę, dowcipną i inteligentną Urszulę Zawadę.

Miło wspominam żarty Franciszka Hamachera, opowieści Edmunda Golla i dowcipy, jakie opowiadaliśmy sobie z Marysią Majtasową i Filą Osińską.

Któregoś dnia po zakończeniu przerwy obiadowej powiedziałem do Marysi Majtasowej: „Idę znowu gwałcić linotyp”. Spojrzała na mnie zaskoczona,

po czym parsknęła śmiechem i tak już zostało. Od tej chwili nosilem przydomek gwałciiciela linotypu, tym bardziej, że nadal nieustannie się psuł. Do historii już przeszły moje przekomarzenia się z Teresą Jeśmanową, która – jak zawsze – za bardzo ingerowała w teksty autorów już po ich złożeniu, przez co nanoszenie korekty stawało się koszmarem.

Swoistego rodzaju oryginałem był Zygmunt Kon – człowiek niebywale wykształcony, błyskotliwie inteligentny, dowcipny i złośliwy. Niskiego wzrostu, chodził zawsze po drukarni z wypchanymi kieszeniami, w których znaleźć można było wszystko. Spoglądał ciekawie znad okularów i za każdym razem znajdował stosowny żart czy dowcip. Często powtarzał, że „autora należy pozostawić w pełni okazałości jego głupoty”, przy czym słowo „autora” wymawiał skandując. W związku z czym rzadko kiedy ingerował w teksty. Odchodziła znakomita żonglerka słowna pomiędzy nim a Teresą Jeśmanową. Oczywiście nie ma nigdzie sielanki. W Caldra House miałem też swoje zderzaki w postaci ówczesnego redaktora technicznego Pawła Hęciaka, który mnie nie cierpiał i to do tego stopnia, że się w ogóle do mnie nie odzywał. Miałem z tego powodu nie lada zabawę. Któregoś dnia szukałem Fili Osińskiej. Zajrzałem do pokoju, gdzie siedzieli redaktorzy. Był w nim tylko Hęciak. Spojrzałem na niego i z diabłem uśmiechem powiedziałem głośno: „Co się tu dzieje. Nikogo tu nie ma?”

Po kilku tygodniach zorien-

towałem się, jaki jest przeciętny poziom piszących. Postanowiłem spróbować swoich sił w tym zakresie. Kilka początkowych moich kawałków puściła do druku Anna Hoffmanowa i Wojciech Plazak. Prowadził on wtedy „Kontury”, które ukazywały się co dwa tygodnie na zmianę z „Środą Literacką”. Niebawem też zainteresowali się mną Stanisław Baliński i Karol Zbyszewski, którym – jeśli chodzi o moje pisanie – zawdzięczam najwięcej. Również przychylnie ustosunkował się do mnie jeden z ówczesnych dyrektorów, dr Witold Czerwiński.

Wkrótce przekonałem się, że drukarstwo nie jest moim powołaniem. Niecałe półtora roku później odszedłem z Caldra House, gdyż postanowiłem studiować stacjonarnie antropologię społeczną w londyńskiej School of Oriental and African Studies. Do Caldra House powracałem jeszcze wielokrotnie. Często dorabiałem tam w weekendy i podczas wakacji. Po zakończeniu studiów pracowałem jeszcze kilka miesięcy. Drukarnia była wtedy w stanie modernizacji. Część załogi składała już „Tydzień Polski” na komputerach, podczas gdy „Dziennik Polski” drukowano jeszcze w metalu.

W Londynie miałem okazję poznać od podszewki zespół redakcyjny „Dziennika”. Redaktorem naczelnym był wtedy Karol Zbyszewski, a jego zastępcą Mikołaj Szumski. Pracowali tam również Janusz Poray-Biernacki (Janusz Jasińczyk), Edward Chudzyński i Janusz Kiczma. Niebawem dobiła do nich nowa sekre-

tarka Barbara Kałuska, która pełni tę funkcję do dziś. Stanisław Baliński przychodził do redakcji tylko dwa razy w miesiącu i to popołudniami. Obok wspomnianej „Środy Literackiej” prowadził cotygodniową rubrykę „Rozmaitości”. Ponieważ w Londynie mieszkalem na Earl's Court, a redakcja mieściła się na Charleville Road na West Kensington – a zatem niemalże po sąsiedzku – byłem tam częstym gościem. Lubilem panującą tam atmosferę, a także żarty Edwarda Chudzyńskiego i jego słynne „kawy z wkładką”, czyli whisky lub koniakiem. Bawiły mnie również dziwactwa Karola Zbyszewskiego, który tak naprawdę zaczął „doceniać” mnie od czasu, gdy napisałem złośliwą i agresywną recenzję ze sztuki „Kim był ten człowiek”. Nie wiedziałem, że Zbyszewski nie lubił Wacława Zagórskiego i jego żony, Tamary Karren, która była autorką sztuki.

Zbyszewski lubił artykuły zwięzłe i krótkie. Był w tym wypadku bezwzględny. Nie oszczędzał nikogo, nawet starszego brata Wacława, który swoimi korespondencjami z Paryża zapępiał chyba jedną trzecią gazety. Słynny był zielony flamaster pana Karola, którym w niemiłosierny wręcz sposób skracał materiały nadchodzące od piszących. Kiedyś podniecony i dumny z siebie przyniosłem mu jakieś kolejne wypociny. Przejrzał je, po czym powiedział: „To jest bardzo dobre, tylko należy trochę skrócić”. Po czym, ku mojej rozpaczy, po wykreśleniu dwóch

→ Czytaj obok

trzecich, stwierdził: „A teraz będzie jeszcze lepsze!”. Gdy ktokolwiek proponował Zbyszewskiemu przysłać artykułu na jakiś konkretny temat, jego odpowiedź była zawsze taka sama: „A kto to będzie czytał?”. Nie zrażałem się taką ripostą. Wkładałem artykuł do koperty i wysyłałem. Ukazywał się później, bardziej lub mniej skrócony. Jako redaktor preferował artykuły sensacyjne od politycznych.

Z czasem do „Dziennika” powrócił – po latach pracy w Polskiej Sekcji BBC – Maciej Cybulski, który starał się dawać zawsze najświeższe i najważniejsze wiadomości. Z tego też powodu dochodziło między nimi do zabawnych nieraz sprzeczek. Któregoś dnia Cybulski chciał umieścić jakąś ważną wiadomość z ostatniej chwili. Zbyszewski uparł się i w zamian puścił notatkę o zgwałceniu staruszki.

Kilkakrotnie w okresie urlopowym pracowałem w „Dzienniku” na tzw. zastępstwach. Byłem wówczas do dyspozycji pana Karola. Mogłem go wtedy bliżej poznać – jego charakter i niewiarygodne nieraz pomysły. Najbardziej lubilem, gdy odbierał telefony. W pierwszej chwili odzywał się symulowanym głosem starej gagi i w zależności od tego, kto dzwonił, zmieniał głos na naturalny, bądź nie. Kiedyś byłem świadkiem następującej rozmowy:

– Halo! – odezwał się podnosząc słuchawkę.

Czy mogę rozmawiać z panem Zbyszewskim? – usłyszałem głos z drugiej strony.

– Już nie ma. On już poszedł do domu – odpowiedział bez chwili namysłu.

Podobał mi się wzajemny stosunek do siebie obydwu dziennikowych ekscentryków – Karola Zbyszewskiego i Zygmunta Kona. Zawsze jeden o drugim powtarzał tę samą sentencję: „On jest strasznym dziwakiem!” Nie dochodziło między nimi do konfliktów. Traktowali się nawzajem ceremonialnie i z szacunkiem.

Zupełnie inaczej ułożyły się moje stosunki ze Stanisławem Balińskim. Pomimo znacznej różnicy wieku, bo ponad pięćdziesięciu lat, zaprzyjaźniliśmy się. Powstało coś w rodzaju formalnej instytucji – tzw. czwartki u

wycofał się z życia. Wycofał się nawet z „Dziennika”. Całe dnie spędzał w fotelu z książką. Jego dom był zapuszczoney. Przypominał przysłowiowy straszny dwór. Czasami udawało mi się wyprowadzić go na krótki spacer. Ale coraz rzadziej.

Baliński miał swoje słabości i śmieszności. Uwielbiał wręcz plotki, a jednocześnie nie chciał się nikomu narazić. Często więc opowiadając coś o bardziej lub mniej znanej osobie powtarzał:

– Jeśli pan się wygada, że to ja powiedziałem, obiecuję, że publicznie się tego wyprę.

Unikał też towarzystwa starszych ludzi.

– Nie mam do nich cierpliwości. Mówią tylko o starości i chorobach, czyli o moich codziennych przyjemnościach – mówił.

Czasami pisał do mnie krótkie żartobliwe listy, w których bądź gratulował mi rzeczy, które były drukowane, to znów – szczególnie w moich miniaturach – dopatrywał się aluzji do tutejszego establishmentu. W listach tych

ponował. Nie zdążyłem, bo Radulski niebawem zmarł, a w końcu zniechęciłem się do całego projektu. Dziś żałuję, bo znaczna większość ludzi, z którymi można było wówczas przeprowadzić wywiad, już nie żyje.

I jeszcze parę słów o Januszu Poray-Biernackim. Był też nieco ekscentryczny. Śmieszył mnie jego wygląd, gdy wracał do redakcji z przerwy obiadowej z zakupami. Miał przerzuconą przez ramię laskę i na jej końcu zawieszoną wypełnioną po brzegi worek plastikowy. Lubiał opowiadać o swoich wyprawach w najdziwniejsze zakątki Londynu. Inną jego pasją było spolszczanie angielskich nazw, co zresztą nie zawsze było dowcipne, czasami wręcz infantylne, ale niektóre jego pomysły językowe były bardzo zabawne. Bardzo mi się spodobало, gdy pewną panią, która nie grzeszyła talią osy nazywał „grubsztyl”.

Wspomniałem już o Edwardzie Chudzyńskim. Był autentycznym, samorodnym talentem szczególnie

jewską i Olgą Żeromską. Często gościem był Zbigniew Racieński.

Kiedy nastały czasy „Solidarności”, w redakcji śledzono wydarzenia skrupulatnie. A potem przyszedł stan wojenny i pojawiło się kilku nowych ludzi – prosto z Polski. Wśród nich Katarzyna Bzowska i Teresa Ujazdowska, które z „Dziennikiem” i „Tygodniem” związane są do dziś. Były to pierwsze symptomy mających nadejść w redakcji zmian.

W chwili, gdy dyrektorem Polskiej Fundacji Kulturalnej, a zarazem „Dziennika” i „Tygodnia” został Zbigniew Błażyński, nastąpiła mała rewolucja. Przede wszystkim odszedł Karol Zbyszewski. Błażyński zmodernizował drukarnię, czyli Caldra House. Powoli wycofane zostały linotypy, a na ich miejsce wprowadzono komputery. Zaprzestano też dyktowania depesz na taśmę magnetofonową. To wyszukane urządzenie zastąpił faks. Mikołaj Szumski powrócił do „Dziennika”. Redakcję „Tygodnia” objął Józef Biliński, a potem Włodzimierz Olejnik. Redaktorem „Dziennika” był następnie Andrzej Czyżowski. W redakcji pojawiła się wtedy nowa twarz – Krystyna Rees. Po Czyżowskim stanowisko naczelnego przejęła Katarzyna Bzowska i piastuje je do dziś. „Tydzień” z nieznanymi mi powodów dostał się w ręce Krystyny Rees, a od czasu jej odejścia funkcję tę przejęła Teresa Ujazdowska. W redakcji „Dziennika” pojawił się Olgierd Pietrykowski, Stefan Gołębiowski i po paru latach przeważnie powrócił Janusz Kiczma.

Sledząc historię „Dziennika” ostatnich kilkunastu lat, przyznać należy, że zachodziła w niej pewna prawidłowość. Otóż wraz ze zmianami politycznymi w Polsce, następowały omalże równoległe zmiany w redakcji gazety. Zmieniał się jej charakter, punkt widzenia i układ graficzny. Zmieniały się także wymogi i oczekiwania czytelników. Jeszcze dwadzieścia lat temu „Dziennik” i „Tydzień” były antyreżimowe i antykomunistyczne. Obecnie nasza emigracyjna gazeta stara się przede wszystkim informować o wydarzeniach roz-

„*„Dziennik” i ludzie z nim związani stali się częścią mojego życia. Bywały okresy, kiedy z redakcji nie wychodziłem, a były też czasy, gdy nie pojawiałem się tam wcale, czyli tak, jak to bywa ze wszystkim w życiu.*”

nie używał nazwisk. Posługiwał się jedynie inicjałami.

Lubiłem również Mikołaja Szumskiego, który po latach pracy w Monachium w Radio Wolna Europa zamieszkał w Londynie i wrócił do „Dziennika”. Od razu uderzyły mnie jego nienaganne maniery i poczucie humoru. Kiedy zachorował, Wacław Zagórski objął redakcję „Tygodnia Polskiego”. Od razu też tygodnik nabrał innego charakteru – stał się magazynem polityczno-kulturalnym o bardziej liberalnym zabarwieniu. Powstał w nim nawet dodatek literacki, którego redagowaniem zajmowała się Stefania Kossowska.

Pomimo wszelkich zalet Szumski, podobnie jak Baliński, miał kardynalną wadę

dobrym satyrykiem. Miał cięty język i nie lada poczucie humoru. W jego obecności nie było końca śmiechom. Napisał kilka sztuk. Były wystawione w emigracyjnym teatrze, a potem, wraz z Janem Pęskim – który przez jakiś czas był kierownikiem dziennikowego Działu Ogłoszeń – założył cieszący się ogromną popularnością kabaret „Pech”.

Maciej Cybulski to oddzielny rozdział. Znakomite pióro, a poza tym człowiek z olbrzymią wiedzą, inteligencją i poczuciem humoru. Rzadko, który z piszących posiada te wszystkie cechy jednocześnie. Nic dziwnego, że szybko zaprzyjaźniliśmy się.

To była ta stara dzienni-

i Zygmunta Kona. Zawsze jeden o drugim powtarzał tę samą sentencję: „On jest strasznym dziwadłem!” Nie dochodziło między nimi do konfliktów. Traktowali się nawzajem ceremonialnie i z szacunkiem.

Zupełnie inaczej ułożyły się moje stosunki ze Stanisławem Balińskim. Pomimo znacznej różnicy wieku, bo ponad pięćdziesięciu lat, zaprzyjaźniliśmy się. Powstało coś w rodzaju formalnej instytucji – tzw. czwartki u pana Stanisława. Przychodziłem co czwartek do jego domu na Acton Town. Dzwoniłem do drzwi punktualnie o piątej. Początkowo były to fascynujące spotkania – coś w rodzaju seminarium z literatury współczesnej. Baliński opowiadał o swoich doświadczeniach pisarskich, o Skamandrytach, o podróżach i pracy dyplomatycznej, a także o Paryżu i Cocteau, którego tam poznał. Posiadał olbrzymie archiwum, w którym były m.in. listy Iwaszkiewicza, a także ostatni list Lechonia. Początkowo chodził jeszcze do teatru i opery. Z czasem, wskutek postępującego artretyzmu, stawał się coraz bardziej przykry i niecierpliwy. Prawie całkowicie

nika. Od razu uderzyły mnie jego nienaganne maniery i poczucie humoru. Kiedy zachorował, Waław Zagórski objął redakcję „Tygodnia Polskiego”. Od razu też tygodnik nabrał innego charakteru – stał się magazynem polityczno-kulturalnym o bardziej liberalnym zabarwieniu. Powstał w nim nawet dodatek literacki, którego redagowaniem zajmowała się Stefania Kossowska.

Pomimo wszelkich zalet Szumski, podobnie jak Baliński, miał kardynalną wadę – unikał konfliktów i nie chciał się nikomu narazić, co w przypadku redaktora gazety jest rzeczą trudną. Kiedyś podsunąłem mu pomysł zrobienia serii wywiadów z emigracyjnymi aktorami, pieśniarzami i reżyserami. Bardzo mu się ten pomysł spodobał. Na pierwszy ogień wybrałem Jadwigę Czerwińską, świetną odtwórczynię piosenek Hemara. Niestety, wywiad ten nie ujrzał światła dziennego. Argumentacja Szumskiego była taka, że Czerwińska przyjaźniła się z jego żoną, Danutą Karell.

– Nie chcę, aby ludzie mówili, że drukuję to po kumotersku. Niech pan lepiej na początek zrobi wywiad z Waławem Radulskim – zapro-

nem Pęskim – który przez jakiś czas był kierownikiem dziennikowego Działu Ogłoszeń – założył cieszący się ogromną popularnością kabaret „Pech”.

Maciej Cybulski to oddzielny rozdział. Znakomite pióro, a poza tym człowiek z olbrzymią wiedzą, inteligencją i poczuciem humoru. Rzadko, który z piszących posiada te wszystkie cechy jednocześnie. Nic dziwnego, że szybko zaprzyjaźniliśmy się.

To była ta stara dziennikarska gwardia. Do dziś pamiętam najrozmaitsze przyjęcia okolicznościowe, jakie tam się odbywały. Oczywiście rej wodził Edward Chudzyński, ale też dzielnie wtórowali mu Karol Żbyszewski i Mikołaj Szumski. Poza tym byli jeszcze ci młodszy – Janusz Kiczma i Barbara Kałuska. Śmiechom i żartom nie było końca. Przez redakcję – zresztą tak jak i dziś – przewijały się tabuny najrozmaitszych ludzi. Tam m. in. poznałem legendarnego brata Karola Żbyszewskiego, Waławę. Spojrzał na mnie i powiedział:

– Tak sobie właśnie pana wyobrażałem, nieprzytomnego poetę.

Tam też po raz pierwszy zetknąłem się z Władą Ma-

wiłowoszczą. Stosunek do zmianami politycznymi w Polsce, następowały omalże równoległe zmiany w redakcji gazety. Zmieniał się jej charakter, punkt widzenia i układ graficzny. Zmieniały się także wymogi i oczekiwania czytelników. Jeszcze dwadzieścia lat temu „Dziennik” i „Tydzień” były antyreżimowe i antykomunistyczne. Obecnie nasza emigracyjna gazeta stara się przede wszystkim informować o wydarzeniach rozgrywających się w kraju, nie zapominając jednocześnie o tym, co dzieje się w życiu polonijnym i to jest właśnie głównym zadaniem naszego Jubilata.

Powyższe wspomnienia są być może chaotyczne i zbyt osobiste. Spoglądam na „Dziennik” przez pryzmat własnych przeżyć i doświadczeń. „Dziennik” i ludzie z nim związani stali się częścią mojego życia. Bywały okresy, kiedy z redakcji nie wychodziłem, a były też czasy, gdy nie pojawiałem się tam wcale, czyli tak, jak to bywa ze wszystkim w życiu. (...) □

(za: „Dopóki jest ‘Dziennik’ - jestem”, PFK, Londyn 2000)